



W sieci *impact factor*'a

MICHAŁ PRASZAŁOWICZ

Wyrok sądu inkwizycyjnego wydany na Galileusza w roku 1632 skazywał go na areszt domowy i zakaz kontaktów ze „światem zewnętrznym”. W konsekwencji nikt w katolickiej Europie nie zdecydował się (mimo pewnych prób) na opublikowanie ostatniego dzieła Mistrza (spisanego już po wyroku) pt. *Rozmowy i dowodzenia*¹. Galileusz zawarł w nim m.in. wyniki swoich młodzieńczych badań nad ruchem ciał, a więc dzieła na temat zupełnie niezwiązany z teorią Kopernika, za której wyznawanie i propagowanie został skazany. To w protestanckiej Lejdzie w roku 1638 zeszyły z prasy drukarskiej pierwsze egzemplarze *Rozmów i dowodzeń*. Stało się to za sprawą Louisa Elseviera, który mimo zakazu odwiedzał Galileusza wcześniej, aby uzgodnić warunki umowy, na podstawie której zostaną wydane *Rozmowy*. Warto o tej historii pamiętać, sięgając po jedno z ponad 2,5 tysiąca czasopism wydawanych współcześnie przez powstałe w XIX wieku wydawnictwo Elsevier, nawiązujące swoją nazwą do słynnej rodziny drukarzy z Lejdy.

Powoływanie się na oświeceniowe korzenie stanowi niewątpliwie solidne podstawy dla wielkiego biznesu, jakim jest wydawanie czasopism i książek naukowych. Jednakże – jako że jest to rynek tyleż intratny, co i drapieżny – nawet Elsevier ucieka się do wielu pociągnięć marketingowych oraz wizerunkowych, aby utrzymać swoją wiodącą pozycję na międzynarodowym rynku naukowych wydawców. I mimo że jestem tego świadomy i nawet już przyzwyczajony, to z niedowierzaniem patrzyłem na monitor komputera, kiedy przy przeglądaniu jakiegoś filmiku motoryzacyjnego wyskoczył mi na ekran banner reklamowy następującej treści: *Publish your research in high impact journals. ELSEVIERE*. Patrzyłem z niedowierzaniem zatem nawet w takiej dziedzinie jak właśnie ów *research* nie można się obejść bez zabiegów godnych sprzedawcy sprzętu fotograficznego, telefonów komórkowych, czy sieci ekskluzywnych klubów dla dżentelmenów?

Na temat sposobu oceny czasopism naukowych, i pośrednio również uczonych, pisano w PAUzie wielokrotnie. W dotychczasowej dyskusji był jednak pomijany aspekt biznesowy, który wydaje mi się pierwszorzędny. Wydawnictwa, takie jak Elsevier, wydają czasopisma naukowe, żeby na nich zarobić. Zarobić, czyli sprzedać czytelnikowi, bibliotece, instytucji. Jednakże w dobie internetu, kiedy artykuły naukowe można rozpowszechnić w sieci bez pośrednictwa czasopism, wydawnictwa musiały znaleźć nowy *modus operandi*, aby nie tylko nie stracić zysków, ale je jeszcze zwiększyć. W dziedzinie, którą się zajmuję, a więc w fizyce, czasopisma rzeczywiście

już nie służą rozpowszechnianiu informacji naukowej. Pisał o tym prawie rok temu prof. A.K. Wróblewski w PAUzie nr 282, wspominając o prowadzonej przez Cornell University bazie *arXiv.org*, gdzie ukazują ponad 95% prac z fizyki (mam tu na myśli fizykę oddziaływań fundamentalnych), które po pewnym czasie (typowo od kilku miesięcy do roku) zostają opublikowane w jednym z istniejących na rynku czasopism. W tym „martwym” okresie, – od pierwszego dnia po ukazaniu się w *arXiv.org* – prace te są czytane przez kolegów po fachu, komentowane, zmieniane przez autorów, no i cytowane w pracach o zbliżonej tematyce. W istocie ten „martwy” okres jest często (myślę tu o pracach dobrych czy wybitnych) okresem najbardziej burzliwym w historii artykułu. Warto przytoczyć jeden wskaźnik: otóż średnio 20% cytowań, wchodzących do *impact factor* czasopisma, które ostatecznie zdecyduje się taką pracę przyjąć, pochodzi właśnie z tego okresu, a więc sprzed daty druku².

Inną rolę czasopism, oprócz publikacji wyników badań, było i jest poddawanie prac naukowych recenzjom, w wyniku czego wiele prac nie zostaje po prostu przyjętych do druku, a w przypadku wielu innych wymaga się od autorów poprawek. Jakość tego procesu (będąca także funkcją jakości nadsyłanych prac) uszeregowwała czasopisma dzieląc je na mniej i bardziej prestiżowe, lub wręcz słabe. Ten podział nie był dawniej ilościowy, opierał się raczej na tzw. „wiedzy powszechnej” niż na jakichś konkretnych parametrach. Sytuacja zaczęła się szybko zmieniać wraz z rozwojem internetu i postępowaniem cyfryzacji.

Świadomość, że w dobie internetu – przynajmniej w fizyce, a myślę, że też w innych naukach przyrodniczych – informacja naukowa zaczęła sobie żłobić nowe kanały przekazu, dotarła chyba szybciej do wydawnictwa niż do samych uczonych. Jednakże techniki komputerowe dały też nowe, a co najważniejsze – szybkie i efektywne narzędzia do kwantyfikacji jakości czasopism. Najbardziej znanym jest oczywiście słynny *impact factor* (który może być jednoroczny lub wieloletni, z autocytoowaniami lub bez), ale też *immediacy index*, *journal impact factor percentile* i inne. Kwantyfikację tę prowadzą różne instytucje; najbardziej wpływowa i chyba najstarsza jest klasyfikacja *Web of Science*, należąca do korporacji Thomson Reuters. Ale są też inne, jak stworzony przez Elseviera *Scopus*, czy używany przez fizyków cząstek i oddziaływań fundamentalnych *inSpire*, należący do Google'a *Article Influence Score*, czy wreszcie tworzony w Polsce *Index Copernicus* – żeby wymienić tylko niektóre. ▶

¹ Historię publikacji ostatniego dzieła Galileusza pt. *Rozmowy i dowodzenia matematyczne w zakresie dwóch nowych umiejętności dotyczących mechaniki ruchów miejscowych*, przez Signora Galileo Galilei Lineo Filozofa i Głównego Matematyka Jego Najjaśniejszej Wysokości Wielkiego Księcia Toskanii. Z dodatkiem o środku ciężkości niektórych brył przytaczam za książką Davy Sobel, *Córka Galileusza. Rzecz o nauce, wierze i miłości*, Rebis, Poznań 2008.

² Dane za pracą: A. Gentil-Beccot, S. Mele, T.C. Brooks, *Citing behaviours in High Energy Physics*, arXiv:0906.5418.

► Ta wielobarwna i pozornie wyglądająca na szlachetną artyleria wskaźników bibliometrycznych od wielu już lat bombarduje zarówno środowiska akademickie, jak i agencje finansujące badania naukowe. Naukowcy są bardzo wrażliwi na to, czy ich badania i poglądy są znane i doceniane. Zawsze satysfakcję daje zatem publikacja w czasopiśmie o wysokim *impact factor*, nawet jeżeli dany artykuł ma znikomą liczbę cytowań. To poczucie podsycają wydawcy (np. poprzez reklamy w internecie), koledzy i urzędnicy. Ci ostatni z kolei uwielbiają proste wskaźniki, które pozwalają „obiektywnie” ocenić instytucje naukowe i pracujących w nich ludzi. W ten sposób toczy się śniegowa kula impaktomanii. Jest to proces samonapędzający się i niesłyszanie skuteczny. *Impact factor* trafiają do zapisów ustawowych, gdzie wskazuje się też bazy danych, które powinny być używane w danym środowisku. W ten sposób umocniła się rola czasopism jako instytucji ewaluujących jakość badań, przy zanikającej ich roli w rozpowszechnianiu informacji naukowej. Dziś, płacąc za prenumeratę, nie płacimy *de facto* za dostęp do wiedzy, ale za *impact factor*, który jest nam potrzebny w indywidualnej karierze naukowej, czy do ustalenia kategorii instytucji, w której pracujemy.

Oczywiście ocena prac naukowych, choćby tylko przez proces recenzowania, jest potrzebna i pozwala odgradzić się od prac słabych czy wtórnych, a w szczególności od plagiatów i artykułów autorstwa maniaków. Jednakże na drugim końcu tej hierarchii, o tym, czy jakiś artykuł naukowy jest wybitny, czy nie, świadczy nie *impact factor* czasopisma, ale – jeśli już opierać się na jakimś wskaźniku bibliometrycznym – liczba cytowań. A w rzeczywistości tak naprawdę liczy się opinia eksperta. Nie ma wątpliwości, że rola *impact factor* w ocenie działalności naukowej jest bardzo zawyżona.

Rodzi się więc pytanie: ile chcemy płacić wydawcom czasopism naukowych za to, że mają one *impact factor*? Ceny subskrypcji są niewspółmierne do rzeczywistych kosztów publikacji artykułu naukowego. Po pierwsze cała zawartość merytoryczna, badania, których wyniki publikujemy, aparatura, komputery – wszystko to (przynajmniej w takiej

dziedzinie jak fizyka) jest z reguły finansowane z pieniędzy publicznych. Artykuły dostarczane są w formie elektronicznej w formacie wymaganym przez dane czasopismo, więc prace nad składem do druku (w tym do publikacji elektronicznej) są minimalne. Recenzenci, nie mówiąc już o autorach, nie pobierają wynagrodzenia, a są czasopisma, które obciążają autorów bądź ich macierzyste instytucje opłatą za publikację. Oczywiście nie mam danych, jakie są zyski dużych wydawnictw naukowych, ale musi to być dobry interes, skoro uciekają się one do wykupywania reklam w Google'u.

Musimy zdać sobie sprawę, że w świecie dużych korporacji biznesowych, jakimi są międzynarodowe wydawnictwa naukowe, jesteśmy bezsiłni. Wyjątkiem mogą być jedynie duże instytuty badawcze lub odpowiednie agencje rządowe. O powstałym przy ośrodku badań jądrowych CERN konsorcjum na rzecz publikacji w trybie *open access* – tzw. SCOAP3 pisałem w PAUzie nr 175. Wydaje się jednak, że konieczne jest, aby z jednej strony dążyć do znacznej redukcji cen subskrypcji: państwa, które finansują badania, powinny płacić naprawdę symbolicznie za to, że ich badacze mają do tych wyników nieograniczony dostęp. Z drugiej strony powinniśmy ograniczać wpływ, jaki te komercyjnie działające instytucje mają na rozwój nauki.

Trzeba bowiem pamiętać, że sztuczne wzmocnienie roli *impact factor* wpływa także na politykę redakcji czasopism. Można by podać dziesiątki przykładów, kiedy to redakcje decydują się odrzucić niestandardowe prace znanych i cenionych badaczy, tylko dlatego, że albo nie rokuje one dużej cytawalności, albo dlatego, że podważają aktualnie obowiązujące paradygmaty. Tu, zresztą moim zdaniem jest miejsce dla mniejszych, niekomercyjnych czasopism, które często takie prace publikują.

Galileusz jednak *Rozmowy i dowodzenia* opublikował. Natomiast wydawca zmienił tytuł rozprawy, który w pełnej wersji liczy kilka linijek (patrz przypis nr 1). Galileusz rozpaczał, że jest to tytuł „banalny i pospolity”, podczas gdy oryginalny był, szlachetny i dostojny”. Louis Elsevier wiedział (a przynajmniej myślał, że wie), co się lepiej sprzedaje

MICHAŁ PRASZAŁOWICZ.
Uniwersytet Jagielloński

Zacznijmy czytać artykuły...

Bezsensowny obyczaj biurokracji polegający na ocenie wartości naukowej publikacji poprzez *impact factor* budzi, na szczęście, coraz większy opór w środowisku naukowym. Wyczerpująco na ten temat pisze Andrzej Kajetan Wróblewski w artykule *Żeby ludzie się wstydzili...* (PAUza Akademicka nr 359). Do wielu przykładów warto dodać uczonego światowego formatu, jakim jest Josiah Willard Gibbs (1839–1903). Albert Einstein określił Gibbsa jako największy umysł w historii Ameryki („the greatest mind in American history”). Gibbs był fizykiem teoretykiem, profesorem uniwersytetu Yale. Jego główne osiągnięcie to stworzenie podstaw fizyki statystycznej, przede wszystkim termodynamiki chemicznej. Był również twórcą analizy wektorowej. W 1863 r. uzyskał w Yale College pierwszy w historii Ameryki stopień doktora filozofii w zakresie inżynierii.

W latach 1876–1878 opublikował podstawową pracę *On the equilibrium of heterogeneous substances* (Vol. III, part 1 (1876), part 2 (1878)).

Publikacja ukazała się w „Transactions of the Connecticut Academy of Arts and Sciences”, czasopiśmie o lokalnym znaczeniu, którego *impact factor* według obecnych standardów wynosiłby **ZERO**. Niewiele brakowało, żeby redakcja „Transactions” odrzuciła publikację Gibbsa, które w owym czasie były niezrozumiałe zarówno dla fizyków, jak i matematyków. Prace ukazały się dzięki pomocy finansowej lokalnych sponsorów.

Gibbs przez 14 lat pozostawał nieznamy nauce światowej. Jak pisze I. Asimow: „Gibbs led a quiet secluded life in the United States, which during the 19th century was as far from the beaten track as Russia” (I. Asimow, *Biographical Encyclopedia of Science and Technology*). Uznanie światowej nauki uzyskał Gibbs po przetłumaczeniu publikacji z „Transactions”, najpierw na język niemiecki przez W. Ostwalda (1892), a następnie na francuski przez H. L. Le Chateliera (1899). Po tych tłumaczeniach Gibbs stał się powszechnie znany, ale dopiero w 1901 r. (po 25 latach) uzyskał Medal Copleya przyznany przez The Royal Society of London, najbardziej prestiżową nagrodę w tamtym czasie.

W 1950 r. – blisko 50 lat po śmierci – Gibbs został wybrany do The Hall of Fame for Great Americans.

Na koniec złota myśl z artykułu A.K. Wróblewskiego: *Zacznijmy czytać artykuły, zamiast oceniać je na podstawie liczenia cytowań* (R.R. Ernst, laureat Nagrody Nobla z chemii w 1991 r.). I dalej: „celem badań naukowych nie jest zdobywanie punktów ministerialnych, ani licytowanie się na wskaźniki bibliometryczne, lecz poszukiwanie prawdy o otaczającym nas świecie”. *Impact factor* jest więc potrzebny jedynie urzędnikom, bo z oceną merytoryczną publikacji środowisko naukowe da sobie radę bez niego.

ZYGMUNT KOLENDA
Akademia Górniczo-Hutnicza

Od atomu do molekuly, czyli SIF versus KEJN

Prof. A. K. Wróblewski w artykule opublikowanym w 359 numerze PAUzy dotyka bardzo ważnego problemu, jakim jest ocena wartości i jakości pracy naukowej wyłącznie na podstawie wskaźników bibliometrycznych. Jednowymiarowa ocena w opinii rosnącej grupy uczonych przynosi więcej szkody niż pożytku, wyzwała wiele patologicznych mechanizmów, precyzyjnie opisanych przez Prof. Wróblewskiego. Po okresie fascynacji zapoczątkowanym powszechną dostępnością do baz naukowych, pojawieniem się nowych narzędzi typu „Impact Factor” (IF) czy parametr Hirscha nadchodzi czas refleksji i racjonalnego spojrzenia na problem. Z nauki zrobiono (sami to zrobiliśmy) konkurencję sportową, gdzie zawodników (naukowców) mierzy się, waży, zlicza punkty i na koniec wystawia ocenę. Pytanie, które, domyślam się, jest intencją Prof. Wróblewskiego, czy środowisko akademickie jest w stanie z tego się otrząsnąć, jest kluczowe dla przyszłości nauki i naukowców. Czy przypomnienie „że celem badań naukowych nie jest zdobywanie punktów ministerialnych, ani licytowanie się na wskaźniki bibliometryczne, lecz poszukiwanie prawdy o otaczającym nas świecie i wykorzystywanie wyników do odkrywania ich zastosowań” spotka się, ze zrozumieniem, przede wszystkim decydentów, którzy mają wpływ na finansowanie badań w Polsce? Mój optymizm jest umiarkowany.

Powszechną praktyką przy ocenie dorobku naukowego w przedmiotach ścisłych jest analiza tzw. sumarycznego „impact factor” (SIF), parametru często przywoływanego przy wnioskach profesorskich, habilitacyjnych. Z pragmatycznego punktu widzenia lepszą strategią jest partycypacja niż kreacja. Jeśli podłączymy się pod grupę z dobrą tematyką, aktywnym publikacyjnie liderem, to zapewni nam to większy sukces (więcej punktów) niż poszukiwanie własnej drogi naukowej. To szczególnie boleśnie widać w grupie najmłodszych pracowników, często bardzo utalentowanych, którzy na początkowym etapie nie mieli szczęścia wejść w wysoką cyrkulację publikacyjną, a system bibliometryczny zamyka im drogę do nagród, grantów, sprowadza na margines nauki lub zmusza do zmiany pracy. Dziekan, dyrektor instytutu, katedry powinien umieć rozpoznać sytuację i wykorzystać odpowiednie instrumenty do dalszego rozwoju naukowego swoich pracowników. Do tego celu służy dotacja statutowa, której wysokość zależy od kategorii naukowej, określanej co cztery lata przez Komitet Ewaluacji Jednostek Naukowych (KEJN).

Aby znaleźć się w odpowiedniej kategorii, Instytut musi zdobyć wymaganą liczbę punktów ministerialnych, na które składa się indywidualny dorobek zatrudnionych w instytucji naukowców (suma wszystkich SIF-ów). Tworzą tzw. dorobek instytutowy. Aby sprostać wymaganiom ewaluacyjnym dyrektor wywiera presję na swoich pracowników, czyli mierzy, waży, zlicza punkty, wystawia oceny. Z niepokojem czeka na wynik kolejnej ewaluacji. Pracownicy mają świadomość, że to nie tylko gra o indywidualne kariery, ale o coś więcej, o utrzymanie wspólnoty, zapewnienie ciągłości pracy, przetrwanie Instytutu.

W przypadku instytutów PAN dotacja statutowa zwykle stanowi 50% budżetu, reszta to granty NCN, NCBiR, europejskie, zlecenia zewnętrzne. Z dotacji statutowej opłacane są koszty infrastrukturalne, utrzymanie specjalistycznej

aparatury naukowej, obsługa administracyjna, prowadzenie badań naukowych oraz uposażenia pracowników instytutu. Zakwalifikowanie jednostki PAN do kategorii B, C i obniżenie dotacji statutowej o 25%, 50% to prawie wyrok śmierci dla instytutu.

W ostatnim okresie uczestniczyłem w różnych dyskusjach przed kolejną ewaluacją przygotowaną przez KEJN. Przyznam, że ból głowy i obawy co do sensu ewaluacji jest coraz większy. Odnoszę wrażenie, że nikt nie próbuje przeanalizować, jakie są efekty ewaluacji z lat 2009–2012. Uczciwość decydentów w stosunku do naukowców nakazywałaby, aby udzielono odpowiedzi przynajmniej na kilka pytań:

1. Czy zostanie dokonana analiza, w których dyscyplinach naukowych dokonał się postęp, w których jest stagnacja, a gdzie regres?
2. Jak będzie wyglądać ocena, gdy wszystkie instytuty w ramach grupy jednorodnej (GWO) dokonały znaczącego postępu w porównaniu z okresem poprzedniej ewaluacji 2009–2012? Czy jedynym efektem będzie przesunięcie wartości referencyjnej i podział na A, B, C?
3. Czy wartości referencyjne dla każdej GWO w skali bezwzględnej będą jawne, czy utajnione? System bez transparentnej oceny jest nic niewarty i raczej dewastuje naukę, niż jej służy. Bez trudu można sobie wyobrazić grupę jednorodną o bardzo wysokich parametrach oceny podzielonej na A, B i C.
4. Czy jednostki kategorii A+ znacząco zwiększyły swoje osiągnięcia, mając 50% większe finansowanie? Jeśli jednostka kategorii B, mając o 25% mniejsze finansowanie, zwiększyła osiągnięcia o 50%, to jak to oceniać? W skali względnej, mając połowę finansowania A+, jednostka kategorii B będzie zawsze na przegranej pozycji z zamkniętą drogą do kategorii A.
5. Czy będą porównywane dokonania jednostki z poprzedniej i obecnej ewaluacji? Jednostka może dokonać znaczącego postępu, ale nie dogonić w punktacji najlepszych. Ewaluacja sprowadzi się jedynie do realizacji projektu „niech biedni będą jeszcze biedniejsi”. Jak to się ma do strategii zrównoważonego rozwoju?

Ocena bibliometryczna jednostek naukowych, oparta na punktacji ministerialnej ma służyć wyższym racjom, lepszej dystrybucji środków finansowych. Nie da się oddzielić punktacji instytutów od punktacji naukowców w niej pracujących. Dla tych, którzy patrzają z troską na „chorobę IF-ów”, to nie jest dobra wiadomość.

Z drugiej strony, jeśli nikt nie próbuje ocenić, jakie są skutki ewaluacji, to argument wyższej racji odpada. Sens punktomanii zaczyna być iluzoryczny i dwuznaczny. Finansowanie jednostek naukowych w oparciu o arbitralne kryteria i podziały nie będzie miało nic wspólnego z polityką naukową. KEJN odcina się od decyzji finansowych (słusznie), nie interesuje się historią (nawet tą sprzed czterech lat), ma jedynie dostarczyć narzędzia, które kręgom ministerialnym pomoże podejmować decyzje finansowe w danym momencie. Jeśli to będzie jedyna rola, sprowadzi to KEJN do funkcji sektora, który będzie przycinał żywoploty na równej wysokości, ale nie będzie wiadomo, dlaczego i po co.

MAREK J. POTRZEBOWSKI

Dyrektor Centrum Badań
Molekularnych i Makromolekularnych Polskiej Akademii Nauk

zaPAU

Cóż u diabła z tym ... IF?

Krucjata, jaką Profesor Andrzej Kajetan Wróblewski od pewnego czasu prowadzi przeciw stosowaniu parametru „impact factor” (IF) do oceny dorobku ludzi nauki (ostatnio: PAUza 359), jest co prawda godna podziwu, ale – jak dotąd – nie przynosi spektakularnych rezultatów, mimo że argumenty AKW są trudne do odparcia. Nie da się przecież zaprzeczyć, że IF został skonstruowany do oceny czasopism, a nie do oceny uczonych. Stąd używanie go niezgodnie z przeznaczeniem grozi poważnymi pomyłkami, co Profesor AKW ilustruje przykładami i statystyką, podpierając się również opiniami różnych gremiów międzynarodowych. Niewiele to pomaga, IF jest coraz powszechniej używany do oceny pracowników, zwłaszcza na uczelniach medycznych i w dziedzinie nauk o życiu.

Jednym z ważnych powodów jest oczywiście prostota. Procedura ta sprowadza ocenę pracownika do jednej liczby (tzw. „summarized impact factor”, SIF), co oczywiście ogromnie ułatwia całą sprawę. Bez wątpienia taka uproszczona ocena jest obciążona kolosalną niepewnością i w rezultacie niewiele warta. Ma jednak jedną wielką zaletę: jest łatwa i nie wymaga od oceniających zajęcia jasnego stanowiska i dokonywania wyboru, często bardzo trudnego. To potężna zaleta w naszym konformistycznym środowisku. Dlatego nie wróżę wielkich sukcesów zmaganiom Profesora AKW, chociaż im kibicuję, podziwiając jego determinację i wytrwałość¹. Kto wie, może w końcu kropla wydrąży skałę. Zwłaszcza że Profesor nie jest już osamotniony, co widać w dzisiejszym numerze PAUzy.

Standardowy argument zwolenników SIF brzmi następująco: Ponieważ czasopisma o wysokim IF mają duży prestiż, wielu ludzi kieruje tam swoje prace i wobec tego redakcja może dokonywać ostrzejszej selekcji. Stąd domniemanie, że praca opublikowana w czasopiśmie o wysokim IF jest lepsza od pracy opublikowanej w czasopiśmie o niewielkim IF. Profesor Wróblewski rozbił ten argument w proch i w pył, wykazując dobitnie, że taki wniosek nie ma żadnych podstaw.

To jednak zupełnie nic nie pomaga, a przecież trudno przypuścić, że WSZYSCY zwolennicy stosowania SIF mają złą wolę, albo że są całkowicie niewrażliwi na argumenty racjonalne. Warto więc pochylić się bliżej nad tym problemem i poszukać głębiej.

Trudno zaprzeczyć, że opublikować pracę w czasopiśmie o wysokim IF jest znacznie trudniej niż w innych. Zwolennicy IF mogą więc argumentować, że człowiek, który potrafi pokonać tak wysoki próg, winien być oceniony wyżej niż jego konkurent, publikujący wyłącznie

w czasopismach, których IF jest niski. Tu oczywiście wchodzimy na grunt niepewny, bo argumenty stają się subiektywne.

Jako ludzie NAUKI powinniśmy więc podejść do sprawy spokojnie i spróbować zbadać ją metodami NAUKOWYMI. Skoro wszyscy jesteśmy już zgodni, że jakaś forma oceny jest niezbędna, trzeba po prostu zbadać, która z nich jest optymalna. Biorąc pod uwagę, że musi być na tyle praktyczna, aby była wykonalna w skończonym czasie i za pomocą skończonych środków budżetowych. Winna też być sprawiedliwa i uwzględniać skomplikowaną naturę procesu badawczego.

Myślę więc, że należy po prostu zrobić badania, które porównają wyniki oceny ludzi nauki za pomocą różnych metod.

Można w ten sposób stosunkowo prosto porównać wyniki otrzymane za pomocą metod bibliometrycznych, np. liczbę cytowań, indeks Hirscha lub IF. Szczególnie interesujące będzie zobaczyć, czy i jaka jest korelacja pomiędzy nimi (może zresztą takie dane już istnieją). Jeżeli okazałoby się, że (pozytywna) korelacja jest bardzo silna, to problem właściwie przestałby być istotny i zostałby zredukowany do dyskusji czysto akademickiej (co bynajmniej nie znaczy, że dyskusja wygaśnie). Jeżeli korelacja między wynikami różnych metod oceny jest słaba (albo wręcz negatywna), wówczas problem jest poważny i warto przemyśleć całą sprawę od podstaw.

Najważniejsze (i najtrudniejsze) będzie jednak zbadanie korelacji pomiędzy oceną „peer review” a ocenami opartymi na bibliometrii. Większość zabierających głos jest wszak zgodna, że dobrze przeprowadzona ocena „peer review” jest najbardziej wiarygodna i najlepiej oddaje wartość dorobku naukowego. Przeprowadzenie więc profesjonalnych badań porównujących wyniki „peer review” z ocenami bibliometrycznymi dałoby wreszcie odpowiedź na zasadnicze pytania o właściwą ocenę ludzi nauki. Nie zdziwiłbym się, gdyby w różnych dziedzinach nauki wyniki były diametralnie różne, co zresztą byłoby wyjaśnieniem, dlaczego tak trudno nam się porozumieć.

Myślę, że warto podjąć takie badania w poszczególnych jednostkach naukowych. Sądzę też, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby Resort ogłosił – i to szybko – konkurs na przeprowadzenie badań w skali ogólnopolskiej.

Nauka potrafiła w przeszłości wyjaśnić wiele spraw kontrowersyjnych, które wydawały się nie do rozstrzygnięcia. Przyłożymy mędrca szkiełko i oko do kwestii ocen, a może znajdziemy rozwiązanie.

Medice, cura te ipsum.

ABBA

¹ Warto tu przytoczyć szlachetną dewizę Wilhelma Orańskiego: „Nie trzeba koniecznie mieć nadziei na zwycięstwo, aby walczyć; i nie trzeba koniecznie mieć sukcesów, aby walkę kontynuować.”